

za czym je jeszcze więcej kochają. I chociaż sami z Zeusa czerpią, jak bachantki przelewają wszystko na dusze osób wybranych, a te raz im coraz to bliższych, i starają się o to, żeby możliwie najwerniej przypominały ich boga.

^B Ci, którzy za Herę szli, szukają natur królewskich, a jeśli którą znajdują, tak samo z nią postępują.

A którzy za Apollonem lub jakim innym bogiem, ci znowu w ślady swego boga wstępując szukają chłopca na swoją modłę, a jeśli im się uda go znaleźć, nasładową bóstwo sami i nakłaniają do tego kochanków; wdrażają ich w sprawy swego bóstwa i starają się ich w miarę sił do istoty bóstwa doprowadzić.

^C Tam nie ma miejsca na zazdrość ani na ordynarne sceny; całe ich postępowanie zmierza tylko do tego, żeby jak największe i jak najbardziej wszechstronne podobieństwo stworzyć między kochankiem a sobą i bogiem, którego czczą.

Więc piękne to usiłowania i święcenia wstępne u tych, którzy prawdziwie kochają; jeśli je skutek pożądaný uwieńczy, wówczas te usiłowania przyjaciół, cierpiących na szal Erosa, szczęściem się stają dla osób ukochanych, o ile się wziąć dadzą. A bierze się ludzi wybranych w taki sposób:

^{XXXIV} ^D Jakaśmy na początku tej opowieści na trzy części każdą duszę podzieliłi: dwie niby na kształt koni, a trzecia na kształt woźnicy, zostaliśmy i teraz przy tym porównaniu. Z koni zaś, powiedzieliśmy, jeden dobry jest, a drugi nie. Ale na czym polega dobroć jednego, a złość drugiego, tegośmy nie przechodzili; więc powiedzmy teraz. Otóż ten z nich, który lepsze ma stanowisko, kształty ma proste a proporcjonalne i zgrabne; wysoko nosi kark, nos ma łagodnie zgarbiony, białą maść, czarne oczy; ma ambicję, ale i ma władzę nad sobą, i wstyd w oczach. Lubi zasłużoną chwałę; batoga ^E nie potrzebuje, dobre słowo mu wystarcza. A drugi krzywy, gruby i lada jako związany; twardy ma kark, krótką szyję, nos do góry zadarty, czarną sierść, ogień w krwią nabiegłych oczach; buta i bezczelność to jego żywioł. Nie słyszy całkiem, bo ma kudły w uszach; ledwie że bicza i ościenia posłucha.

^{XXXV} ²⁵⁴ Więc kiedy woźnica ujrzy jakąś zjawę miłosną i żar mu duszę ogarnia, kiedy mu tęsknota pierś rozpięra, a żądła łechcą na wszystkie strony, jeden koń, który zawsze słucha woźnicy, wtedy także wstydem się kieruje i sam siebie zatrzymuje, żeby nie wskoczył przednimi nogami na kochanka; za to drugi nie zważa na ukłucia ani razy, których mu woźnica nie szczędzi, i w dzikich podskokach pędzi wprost przed siebie. Męczy się z nim strasznie jego sąsiad

w zaprzęgu; rady mu nie może dać i woźnica. On ich rwie wprost na kochanka, żeby tam odświeżyć wspomnienie wdzięków Afrodyty. A ci obaj oburzają się zrazu i ciągną w przeciwną stronę, bo ten ich zmusić chce do bezceciństwa straszne. W końcu, kiedy ^B wszystko nic nie pomaga, idą za nim; on ich wlecze za sobą. Już ustąpili: już się godzą czynić, co im każe. Zbliżają się do kochanka i oto staje przed nimi jego postać jasna. Kiedy ją ujrzał woźnica, błyskawicą mu wtedy przed oczyma staje wspomnienie piękności; myśl jego ulatuje do jej istoty i ogląda ją znowu: ona tam stoi obok władzy nad sobą, tam na świętych stopniach. Myśl jego ^C przejrzała i lęk ją oblatuje święty; więc pada na wznak i tym samym szarpie w tył cugle tak mocno, że oba konie stają dęba na zadach. Jeden z nich rad, bo nie ciągnął w stronę przeciwną, a tamten butny, bestia, nierad bardzo. Cofają się jednak oba; jeden ze wstydu i strachu kroplami potu skrapia całą duszę, a drugi, kiedy mu już uzda warg nie rani, a upadek wstecz nie grozi, ledwie że tchu nabrał, ciskać się zaczyna w pasji i obelgi miotać; od tchórzów wymyśla woźnicy i towarzyszowi w zaprzęgu, że to ze strachu ^D i nie po męsku popsuli szyki i złamali umowę. I znowu ich chce gwałtem, wbrew ich chęci, naprzód wlec i ledwie im ustąpić raczy, kiedy się proszą, żeby im to na następny raz odłożył.

Kiedy termin umówiony przyjdzie, oni udają, że zapomnieli, ale on go przypomina i znowu gwałt im zadaje, rzy, wlecze za sobą i wymusić chce na nich zbliżenie do chłopaka w takiej samej myśli jak poprzednim razem. Kiedy już są blisko, spuszcza łeb, stawia ogon do góry, bierze wędzido na kiel i rwie naprzód bez pamięci i wstydu. Woźnicy tym razem jeszcze gorzej, toteż się jeszcze ^E gwałtowniej rzuca wstecz, jak u mety wyścigów, i tym gwałtowniej butnej bestii munsztuk z zębów wyrwa, język mu przebrzydły i paszczkę do krwi zdziera, a zad i stopy w ziemię wpięra; niech się bestia męczy.

Po kilku takich lekcjach pokornieje butna szelma i zaczyna słuchać przezornego woźnicy, a kiedy piękną postać zobaczy, wtenczas ginie ze strachu.

Odtąd zaczyna dusza tego, który kocha, chodzić ze wstydem i czcią, i z obawą śladami ukochanej osoby.

Kiedy zaś człowiek, który nie udaje miłości, ale doznaje tego uczucia naprawdę, boskim kultem otacza wybrańca, ten żywi ^{XXXVI} ²⁵⁵ wprawdzie dla niego pewną naturalną sympatię, jednakże trzyma go zrazu z daleka, może i dlatego, że między kolegami kiedyś plotki krążyły o tym, który kocha, i mówiono, że się nie wypada wda-



wać w poufalsze stosunki na tle erotycznym. Z czasem jednak
B wiek i konieczność robi swoje i dochodzi do zbliżenia między nimi.

Bo nigdzie nie jest napisane, żeby się tylko żli ludzie musieli do siebie zbliżać, a ludzie dzielni nie mogli. Kiedy się zaś stosunki do siebie zbliżać, a ludzie dzielni nie mogli. Kiedy się zaś stosunki i rozmowy częstsze nawiążą, wybrany spostrzeżę ku swemu wielkiemu zdumieniu coraz nowe objawy życzliwości ze strony zakochanego i zaczyna dochodzić do przekonania, że wszyscy inni przyjaciele i bliscy nic mu właściwie nie dają w porównaniu z tym człowiekiem, w którego bóg wstąpił.

A kiedy ten dłuższy czas tak postępuje i zbliża się do niego, C i styka z nim w salach gimnastycznych i gdzie indziej także, wtedy bóg zaczyna źródło owych promieni, które Zeus, w Ganimesedzie zakochany, urokiem nazwał, i strumień ich obfity płynie ku temu, który kocha, wnika weni i wypienia go po brzegi, a co zostaje, przelewa się, i tak jak wiatr albo echo jakieś od gładkich a twardych ciał odbite znowu tam wraca, skąd wyszło, tak i strumień piękności D znowu do swego źródła przez oczy – zwyczajna to jego droga do duszy – wraca, a wróciwszy skrapia pory, którymi się pióra cisnąć zwykły; pióra rosną i oto się dusza kochanka miłością napienia. I on już kocha, ale jeszcze sam nie wie kogo. I ani wie, co się z nim dzieje, aniby to powiedzieć potrafił. Ale jakby się od kogoś choroby oczu nabawił, nie wie, skąd mu to przyszło, i nie wie, że w przyjacielu swym, jakby w zwierciadle, siebie samego ogląda. Kiedy on jest przy nim, lżej mu, podobnie jak i tamtemu. A kiedy go nie ma, tęskni, podobnie jak i tamten za nim, bo jest w nim Eros Wzajemny. Ale on go nie nazywa miłością, tylko przyjaźnią, E i myśli, że tak jest naprawdę. A pragnie podobnie jak tamten, chociaż nie tak silnie; pragnie go widzieć, czuć, ścisnąć, całować i leżeć razem blisko. I oczywiście, niezadługo zaczyna to wszystko robić.

Kiedy tak leżą koło siebie, wtedy niepokoniony koń zakochanego ma niejedno do powiedzenia woźnicy. Za tyle trudów rad 256 by sobie użył choć trochę. A koń wybrańca nic nie mówi, tylko żąda wre i nie wie sam, co ma robić, ścisnąć przyjaciela i całuje za to, że taki dla niego dobry strasznie; leżą blisko siebie, a jemu tak jest, że nie umiałby niczego ze swej strony odmówić tamtemu, gdyby on czegokolwiek chciał od niego. Ale towarzysz w zaprzęgu i woźnica ciągną w stronę przeciwną. Mają wstyd i rozum.

XXXVII Jeśli w nich tedy zwyciężą lepsze strony duszy, wiodące do porządnego życia i do filozofii, pędzą wtedy obaj żywot w szczęściu B i w jedności, namiętność i żądza – przywoici. Umieli w swojej duszy zwyciężyć to, w czym się im żądza kryło, a wyzwolili to, w czym

dzielność. Kiedy pomrą, skrzydła ich poniosą wysoko; palme zwycięstwa wzięli w jednym z trzech naprawdę olimpijskich zawodów, a większego dobra nad to ani rozsądek ludzki, ani szal boski dać człowiekowi nie zdoła.

Jeżeli by zaś podlejszy jaki żywot wiedli, nie mieli nic wspólnego z filozofią, a dbali o to, co pochwała wielu, łatwo się im trafić C może, że gdzieś przy pijatce czy innej wesolej sposobności owe niepokonione rumaki dusze ich zastaną bez strazy, zaciągną ich na jedno miejsce, i ci wezmą wtedy i zrobią to, co wielu chwali jako szczęście. Później się to będzie powtarzało, choć nieczęsto, bo się ich cała dusza na to nie zgadza.

W przyjaźni żyją z sobą i tacy dwaj, chociaż już nie tak jak tamci, zarówno wtedy, kiedy ich miłość łączy, jak i potem, kiedy ich D miłość przeminie. Uważają obaj, że sobie winni wzajem szacunek i zaufanie największe, którego się nigdy łamać nie godzi, a rozpoczynać wojnę. W chwili śmierci skrzydeł nie dostaną, ale wyjdą z ciał na poły w piórach; i tak dość wielka dla nich nagroda za szal miłości. Bo w ciemności i czeluści podziemne nie godziłoby się iść tym, którzy już stąpali po ścieżkach podniebnych. Więc gdzieś po jasnych drogach chodzą w szczęściu, a gdy godzina przyjdzie, E równocześnie skrzydeł dostają – za to, że kiedyś kochali.

Takie dary, takie skarby powinienieś ci, chłopcze, przyjaźni XXXVIII tego, który kocha. A pieszczota i poufalskość z tym, co nie kocha, rozsądkiem śmiertelnym podłana, skąpą ręką znikome ziemskie dobro ci wydzieli, a czymś tak podłym i niskim, choć to u tłumu zaleta, duszę ci zaprawi, że się dziewięć tysięcy lat będzie musiała 257 około ziemi kręcić i pod ziemią jeszcze do rozumu nie przyjdzie.

Oto ci, przyjacielu nasz, Erosie, wedle sił naszych najpiękniejszą i najlepszą oddajemy повинną pieśń przebłagalną. Jeśli w ogóle, a przede wszystkim w słowach musiała być trochę poetycka, to tylko ze względu na Fajdrosa. Więc pierwszą mowę mi odpuść, a dając nagrodę za drugą, nie racz mi w dobroci swej i w łasce odbierać sztuki kochania ani mi jej w gniewie swym nie popsuj. Daj, żeby mnie piękni ludzie jeszcze więcej niż dzisiaj cenili. A w B pierwszej mowie, jeżeliś mi ci coś przykrego powiedział, Fajdros i ja, to pomny, że Lizjasz był tej mowy ojcem i winowajcą, spraw, żeby on takim mowom dał nareszcie pokój, a do filozofii go za przykładem brata jego Polemarcha nawróć, aby się i ten tutaj człowiek w nim zakochany przestał chwiać na obie strony, lecz Erosowi i filozofii życie swe poświęcił!

FAJDROS. Modłę się i ja z tobą, Sokratesie; niech się tak stanie, XXXIX

– bo on ma dwóch synów. „Kalliaszu – powiadam – jakby ci się tak twoi dwaj synowie żrebakami albo cielętami porodzili, to my byśmy umieli wyszukać im kierownika i zgodzić go, żeby z nich zrobił piękne i dobre sztuki we właściwym im rodzaju zalet. I to by był albo jakiś człowiek od koni, albo od roli. No teraz, skoro B są ludźmi, to kogo im zamysłasz wzięć na kierownika? Kto się tak rozumie na zaletach człowieka i obywatela? Myślę przecież, żeś ty się nad tym zastanowił, bo masz synów. Jest ktoś taki – mówię mu – czy nie?”

„Ano pewnie” – powiada.

„Któż taki – mówię – i skąd on, i po czemu uczy?”

„Euenos – powiada – Sokratesie, ten z Paros, po pięć min”.

A ja sobie pomyślałem: szczęśliwy ten Euenos, jeżeli on C naprawdę posiada tę sztukę i tak ładnie uczy! Ja bym się i sam chwalił i wysoko nosił, gdybym to umiał. Ale ja tego nie umiem, obywatelu!

V Więc może mi ktoś z was wpadnie w słowo i zapyta: „Sokratesie, a twoja robota jaka właściwie? Skądże się wzięły te potwarze na ciebie? Już też z pewnością, gdybyś się nie był, niby to, bawił w żadne nadzwyczajności, a żył jak każdy inny, nie byłiby cię ludzie tak osławili ani obgadali, skoro twoje zajęcia niczym nie odbijały od wszystkich innych ludzi. Więc powiedz nam, co jest, żebyśmy i my w twojej sprawie nie strzelili jakiegoś głupstwa”. Kto tak mówi, ten mówi sprawiedliwie, jak uważam, i ja wam spróbuję wyka- D zać, co tam jest takiego, co mi wyrobiło takie imię i taką potwarz.

A słuchajcie.

Może się będzie komu z was zdawało, że żartuję; tymczasem będąc przekonani; całą wam prawdę powiem. Bo ja, obywatele, przez nic innego, tylko przez pewnego rodzaju mądrość takie imię E zyskałem. A cóż tam za mądrość taka? Taka może jest i cała ludzka mądrość! Doprawdy, że tą i ja, zdaje się, jestem mądry. A ci, o których przed chwilą mówiłem, ci muszą pewnie być jakąś większą mądrością, ponad ludzką miarę mądrzy, albo – nie wiem sam, co powiedzieć. Ja przynajmniej zgoda się na tej wyższej nie znam, a kto to na mnie mówi, ten kłamie i tylko na to wychodzi, żeby oszczerstwo na mnie rzucił.

A tylko, obywatele, nie krzyczcie na mnie, nawet gdyby się wam zdawało, że wielkich słów używam. Bo nie będę swoich słów przytaczał w tym, co powiem, ale się powołam na kogoś innego, kto to powiedział. Przytoczę wam świadka mojej mądrości, jeżeli jaka jest i jaka: boga w Delfach.

Znacie pewnie Chajrefonta. To mój znajomy bliski od 21 dziecięcych lat i mnóstwo z was, z ludu, dobrze go znało. On wtedy razem poszedł na to wygnanie i wrócił razem z wami. I dobrze wiecie, jaki był Chajrefon; jaki gorączka, do czego się tylko wzięął. I tak raz nawet, jak do Delfów przyszedł, odważył się o to pytać wyroczeni i, jak powiadam – nie róbcie halasu, obywatele! – zapytał tedy wprost, czyby istniał ktoś mądrzejszy ode mnie. No i Pytia odpowiedziała, że nikt nie jest mądrzejszy. I to wam ten tutaj brat jego poświadczy, bo tamten już umarł.

Zważcie tedy, dlaczego to mówię, chcę wam pokazać, skąd się 21 wzięła potwarz. Bo ja, kiedym to usłyszał, zacząłem sobie w duchu B myśleć tak: Co też to bóg mówi? Cóż ma znaczyć ta zagadka? Bo ja, doprawdy, ani się do wielkiej, ani do małej mądrości nie poczuwam. Więc cóż on właściwie mówi, kiedy powiada, że ja naj- mądrzejszy? Przecież chyba nie kłamie. To mu się nie godzi. I długi czas nie wiedziałem, co to miało znaczyć, a potem powoli, powoli zacząłem tego dochodzić tak mniej więcej:

Poszedłem do kogoś z tych, którzy uchodzą za mądrych, aby 21 jeśli gdzie, to tam przekonać wyroczenie, że się myli, i wykazać jej, że ten oto tu jest mądrzejszy ode mnie, a tyś powiedziała, że ja C

Więc kiedy się tak w nim rozglądałem – nazwiska wymieniać nie mam potrzeby: to był ktoś spośród polityków, który na mnie takie jakieś z bliska zrobił wrażenie, obywatele – otóż kiedym tak z nim rozmawiał, zaczęło mi się zdawać, że ten obywatel wy- daje się mądrym wielu innym ludziom, a najwięcej sobie samemu, a jest? Nie! A potem próbowałem mu wykazać, że się tylko uważa D za mądrego, a nie jest nim naprawdę. No i stąd mnie znieawdził i on, i wielu z tych, co przy tym byli.

Wróciwszy do domu zacząłem miarkować, że od tego człowieka 21 jednak jestem mądrzejszy. Bo z nas dwóch żaden, zdaje się, nie wie o tym, co piękne i dobre, ale jemu się zdaje, że coś wie, choć nic nie wie, a ja, jak nic nie wiem, tak mi się nawet i nie zdaje. Więc może o tę właśnie odrobinę jestem od niego mądrzejszy, że 21 jak czego nie wiem, to i nie myślę, że wiem.

Stamtąd poszedłem do innego, który się wydawał mądrzejszy niż tamten, i znowu takie samo odniosłem wrażenie. Tu znowu 21 mnie ten ktoś znieawdził i wielu innych ludzi.

Więc potem tom już po kolei dalek chodził, choć wiedziałem, 21 E i bardzo mnie to martwiło i niepokoiło, że mnie zaczynają nienawidzić, a jednak mi się koniecznym wydawało to, co bóg powiedział, stawiać nade wszystko.

Trzeba było iść dalej, dojść, co ma znaczyć wyrocznia, iść do
 22 wszystkich, którzy wyglądali na to, że coś wiedzą. I dalipies, oby-
 watele — bo przed wami potrzeba prawdę mówić — ja, doprawdy,
 odniosłem takie jakieś wrażenie: ci, którzy mieli najlepszą opinię,
 wydali mi się badające największymi nędzarzami, kiedyś tak za
 wolą boską robił poszukiwania, a inni, lichsi z pozoru, byli zna-
 cznie przyzwoitsi, naprawdę, co do porządku w głowie.

Muszę wam jednak moją wędrowkę opisać; jakim ja trudy
 podejmowałem, aby w końcu przyznać słuszność wyroczni.

Otóż po rozmowach z politykami poszedłem do poetów, tych,
 B co tragedię piszą i dytamy, i do innych, żeby się tam na miejscu
 niezbitcie przekonać, zem głupszy od nich.

Brałem tedy do ręki ich poematy, zdawało się, najbardziej opra-
 cowane i, bywało, rozpytywałem ich o to, co chcą właściwie po-
 wiedzieć, aby się przy tej sposobności też i czegoś od nich nauczyć.
 Wstydzę się wam prawdę powiedzieć, obywatele, a jednak powie-
 dzieć potrzeba. Więc krótko mówiąc: nieledwie wszyscy inni, z bo-
 ku stojący, umieli lepiej niż sami poeci mówić o ich własnej robocie.

Więc i o poetach się przekonałem niedługo, że to, co oni robią,
 C to nie z mądrości płynie, tylko z jakieś przyrodzonej zdolności,
 z tego, że w nich bóg wstępuje, jak w wieszczków i wróżbitów;
 ci także mówią wiele pięknych rzeczy, tylko nic z tego nie wiedzą,
 co mówią. Zdaje mi się, że coś takiego dzieje się i z poetami.
 A równocześnie zauważyłem, że oni przez tę poezję uważają się
 za najmądrzejszych ludzi i pod innymi względami, a wcale takimi
 nie są. Więc i od nich odszedłem, uważając, że tym samym ich
 przewyższam, czym i polityków.

VIII W końcu zwróciłem się do rzemieślników. Bo sam zdawałem
 D sobie doskonałe sprawę z tego, że nic nie wiem, a u tych
 wiedziałem, że znajdę wiedzę o różnych pięknych rzeczach. I nie
 pomyliłem się. Ci wiedzieli rzeczy, których ja nie wiedziałem, i tym
 byli mądrzejsi ode mnie. Ale znowu, obywatele, wydało mi się,
 że dobrzy rzemieślnicy popełniają ten sam grzech co i poeci. Dla-
 tego że swoją sztukę dobrze wykonywał, myślał każdy, że jest bar-
 dzo mądry we wszystkim innym, nawet w największych rzeczach,
 i ta ich wada rzuciła cień na ich mądrość.

E Tak że sam zaczął sam siebie pytać zamiast wyroczni, co bym
 wolał: czy zostać tak, jak jestem, i obejść się bez ich mądrości,
 ale i bez tej ich głupoty, czy mieć jedno i drugie, jak oni. Od-
 powiedziałem i sobie, i wyroczni, że mi się lepiej oplaci zostać tak,
 jak jestem.

Z tych tedy dochodzeń i badań, obywatele, licząc się z moją
 nieprzyjaźnią, i to straszne, i bardzo ciężkie, tak że stąd i i po-
 23 twarzę poszły, i to imię stąd, że to mówią: mądry jest. Bo zawsze
 ci, co z boku stoją, myślą, że ja sam jestem mądry w tym, w czym
 mi się kogo trafi położyć w dyskusji.

A to naprawdę podobno bóg jest mądry i w tej wyroczni to
 chyba mówi, że ludzka mądrość mało co jest warta albo nic. I zdaje
 się, że mu nie o Sokratesa chodzi, a tylko użył mego imienia, dając
 24 mnie na przykład, jakby mówił, że ten z was, ludzie, jest mądrzej-
 szy, który, jak Sokrates, poznał, że nic nie jest naprawdę wart, tam
 gdzie chodzi o mądrość.

Ja jeszcze i dziś chodzę i szukam tego, i myszkuję, jak bóg na-
 kazuje, i między mieszczanami naszymi, i między obcymi, jeżeli mi
 się który mądry wydaje, a jak mi się który mądry wydaje, to zaraz
 bogu pomagam i dowodzę takiemu, że nie jest mądry. I to mi tyle
 czasu zabiera, że ani nie miałem kiedy w życiu obywatelskim zrobić
 25 czegoś, o czym by warto było mówić, ani koło własnych interesów
 chodzić; ostatnią biedę klepię przez tę służbę bożą.

A oprócz tego chodzą za mną młodzi ludzie, którzy najwięcej
 X mają wolnego czasu, synowie co najbogatszych obywateli; nikt im
 chodzić nie każe, ale oni lubią słuchać, jak się to ludzi bada, a nie-
 raz mnie naśladową na własną rękę i próbują takich badań na in-
 nych.

Pewnie — znajdują mnóstwo takich, którym się zdaje, że coś
 wiedzą, a wiedzą mało albo wcale nic. Więc stąd ci, których oni
 na spytki biorą, gniewają się na mnie, a nie na nich: mówią, że
 to ostatni łajdak ten jakiś Sokrates i psuje młodzież. A jak ich
 D ktoś pyta, co on robi i czego on naucza, nie umieją nic powiedzieć,
 nie wiedzą; żeby zaś pokryć zakłopotanie, mówią to, co się na każ-
 dego miłośnika wiedzy zaraz mówi: że tajemnice nieba odsłania
 i ziemi a bogów nie szanuje, a z gorszego zdania robi lepsze.

Bo prawdy żaden by chyba nie powiedział: że się ich niewiedzę
 odsłania i udawanie mądrości. A że im widać na poważaniu zależy,
 a zaciekli są i dużo ich jest, a systematycznie przekonująco na
 26 mnie wygadują, więc macie pełne uszy ich potwarzy, rzucanych na
 mnie od dawna a zajadle. Spośród nich też wyszli na mnie Me-
 letos, Anytos i Likon. Meletos się obraził za poetów, Anytos za
 rzemieślników i polityków, a Likon za mówców.

Tak że jakem na początku mówił, ja bym się sam dziwił, gdyby
 mi się w tak krótkim czasie udało wyjąć wam z uszu te liczne
 a zastarzałe oszczerstwa.